

ks. Tomasz Horak

**NADZIEJA
ZAWIEŚĆ
NIE MOŻE**

Rekolekcje kapłańskie

Wydawnictwo WAM
Kraków 2009

WSTĘP

Po święceniach, wierny obowiązującemu prawu diecezjalnemu, jeździłem na rekolekcje organizowane dla księży. Jakoś mi „nie pasowały”. Pewnie miałem pecha. A może chciałem gwiazdki z nieba? Kiedyś rekolekcjonista nieudolnie streszczał dokument Stolicy Apostolskiej o liturgii, a dokładnie mówiąc – o liturgicznych obrzędach. Innym razem – i to sam sobie wybrałem miejsce i prowadzącego – był to cykl wykładów z socjologii. Za każdym nieomal razem brakowało mi skupienia i modlitwy – po części dlatego, że prowadzący nie dbali o ten wymiar rekolekcji, po części zaś dlatego, że wśród uczestników górę brała idea kilku dni odpoczynku, a nie duchowego wysiłku. Któregoś roku, nie pomnę ile lat po święceniach, pojechałem do salezjanów w Szczyrku, kiedy indziej do franciszkanów na Górę św. Anny, także do benedyktynów do Tyńca, jeszcze kiedyś do redemptorystów do Barda Śląskiego – z Pismem Świętym, z wybraną lekturą albo i bez. I sam w ciszy, samotności i skupieniu, to w kaplicy, to w lesie budowałem swój własny rekolekcyjny dom.

Ale taki dom dla jednej osoby jest pustawy i chłodny. Trafiłem wtedy do Krościenka na pierwszą w moim życiu oazę. Była to kilkudniowa oaza rekolekcyjna dla animatorów. Uczestnicy byli zróżnicowani – i młodzież, i zakonni-

ce, i księża, i świeccy; tak panowie, jak i panie. Prowadził ją sam ojciec Blachnicki. To było to! Gdy później, już jako moderator, prowadziłem oazy dla młodzieży czy dzieci, wiedziałem, że zyskuję bez porównania więcej niż na owych nietrafionych rekolekcjach kapłańskich. I przestałem na nie jeździć. Nikt nie pytał o zaświadczenia, starałem się więc wobec sumienia być dokładnym i sam sobie rekolekcyjną dyscyplinę organizowałem.

Kto i kiedy pierwszy raz poprosił mnie o prowadzenie rekolekcji parafialnych? Nie pomnę. Trudne zadanie mnie czekało, gdy o. Dominik, dominikanin, zaprosił mnie z rekolekcjami do Małego Cichego. Tatry! Parafia maleńka, zupełnie inna od moich duszpasterskich doświadczeń. Pojechałem sumiennie przygotowany. Okazało się, że to znane mi tylko z górskich włóczęg środowisko jest mi bliskie także w wymiarze rekolekcyjnym. Na ile ożywiłem wiarę i życie z wiary parafian w Małym Cichem? Nie wiem. Ale sam wróciłem odnowiony. Odkryłem wtedy kolejne prawidło: rekolekcjonista nie „głosi” rekolekcji, ale sam się w nie zanurza.

A potem to się „posypało”. Rekolekcje w różnych parafiach, do których mnie proboszczowie prosili. I w sąsiedztwie, i gdzieś daleko. To był chyba też skutek oswojenia się z moim nazwiskiem w „Gościu Niedzielnym”. Były małe wiejskie parafie. Były też wielkie. Były i katedry. Inni proboszczowie, inne nieraz światy. Przedziwny okazał się ten mój rekolekcyjny dom. Wszędzie byłem obcy i wszędzie byłem u siebie. Wracałem zwykle zmęczony, z większym czy mniejszym workiem ofiar jako honorarium. I nieodmiennie z bogatszą wiarą, przekonany, że warto iść pomię-

dzy ludzi i dzielić się przede wszystkim swoją nadzieją. Mój rekolekcyjny dom stawał się coraz ważniejszą częścią mego życia. Wypełniał ledwie kilka razy po kilka dni w roku, ale nadawał znaczenie całym miesiącom.

Któregoś dnia zaskoczył mnie Naczelnny naszego „Gościa”, podówczas jeszcze Staszek, czyli ks. Tkocz. *Tomek, proszę cię, żebyś poprowadził rekolekcje dla redakcji!* Nogi się nieco pode mną ugięły, ale z uśmiechem odpowiedziałem: *Staszku! Szefowi się nie odmawia.* – *Wiedziałem* – skwitował z uśmiechem. Czulem, że architektem mojego rekolekcyjnego życiorysu jest Ktoś inny niż kolejni zapraszający mnie ludzie. To jednak nie przeszkadzało obawie, co ja „im” powiem. „Im” – kolegom i koleżankom z redakcji. Ludziom, którzy widzieli niemało, wiedzą dużo i których trudno zadowolić lada czym. Te rekolekcje pociągnęły za sobą kolejne. Wkrótce katowicki arcybiskup Damian Zimoń poprosił mnie o rekolekcje dla katowickiej kurii – co znaczyło dla biskupów i księży ze wszystkich kurialnych wydziałów i wokółkurialnych instytucji. Miałem wyjście? Obaw nie żywiłem większych. Przecież ten scenariusz kreśli Ktoś inny, nie ja sam, nie ludzie. Skoro On, to nie zostaje nic innego, jak solidnie wykonać, co do mnie należy. W międzyczasie miałem takie małe rekolekcyjne wprawki w postaci dni skupienia na tygodniach formacyjnych dla młodych księży. Jakiś czas wcześniej rekolekcje w naszym seminarium duchownym. W każdym wciąż sprawdzały się dwie reguły: mówić o sprawach najprostszych i brać udział w rekolekcjach na równi z uczestnikami.

Równolegle bywałem zapraszany na rekolekcje do różnych parafii. Inny jest ich koloryt, ale w najgłębszej

warstwie chodzi o to samo. Mówiąc o sprawach prostych, stawiając wiele pytań samemu sobie, wraz z uczestnikami szukać na nie odpowiedzi. Ciekawe – powtarzałem nieraz te same nauki, a krąg skojarzeń, możliwych konotacji poszerzał się, bywało, że szedł w nieco innym, nowym kierunku. Jakby to Ktoś inny do mnie mówił.

Jednego nie wiem. Mianowicie: czy na kapłańskich rekolekcjach potrafię być na tyle dyskretny, by sobą i swoim gadaniem nie rozsadzić od wewnątrz tego domu, który buduje Jezus... Bo może dla kogoś prowadzone przeze mnie rekolekcje będą tak samo nietrafione, jak te, na których ja niegdyś bywałem.

W tej książce zebrałem kilkanaście nauk, konferencji, kazań – czy jakby to jeszcze inaczej nazwać. W istocie są to homilie, bo zawsze nawiązuję do czytań biblijnych. Korzystam z możliwości dobierania tekstów do treści rekolekcji – tak w Liturgii Godzin, jak i w czasie Eucharystii. Każda z zamieszczonych tu konferencji dojrzewała, przebywała ewolucję w miarę przede wszystkim mojego dojrzewania. Pewne motywy, a nawet fragmenty się powtarzają. Z drugiej strony jest wiele tematów niedotkniętych. Ta książka nie jest jednak traktatem, lecz tekstem żywych rekolekcji, które prowadziłem. Na końcu dodałem scenariusz poetyckiego wieczoru – autoportret słowem malowany. Kończył on zwykle dni skupienia dla księży. W prezentacji mojej poezji pomagały mi dzielnie Ania i Iwonka...